

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JOSEPH CONRAD

**Tajfun
i inne opowiadania**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Ile marynarz z masztu wysokiego
Dokoła widzi morza w dzień bezwietrzny -
Tak wielka była Neptunowa sala...

Keats (*Endymion*)

Tajfun

I

Kapitan MacWhirr z parowca „Nan-Shan” miał oblicze, które w świecie zjawisk fizycznych stanowiło dokładny odpowiednik jego umysłu: nie odznaczało się ani stanowczością, ani głupotą; nie posiadało żadnych cech wybitnych; było po prostu zwyczajne, beznamienne i niewzruszone.

Jego wygląd mógł czasami sugerować co najwyżej nieśmiałość, kiedy przesiadywał w różnych biurach na lądzie, ze słabym uśmiechem na opalanej twarzy i spuszczonej oczyma. Skoro je podniósł, widać było, że są błękitne i patrzą prosto na rozmówcę. Włosy jasne i nadzwyczaj cienkie obejmowały od skroni do skroni łysą kopułę czaszki niby kępa puszystego jedwabiu. Natomiast zarost twarzy, koloru płomiennej marchwi, wyglądał jak szczeń miedzianego drutu przycięta krótko nad linią ust; i choćby nie wiedzieć jak gładko się ogolił, kiedy tylko poruszył głową, ogniste, metaliczne błyski przebiegały mu po policzkach. Wzrostu był mniej niż średniego, o plecach lekko zaokrąglonych, a kończynach zbudowanych tak mocno, że ubrania wydawały się zwykle odrobinę przyciasne na nogach i ramionach. Jakby niezdolny pojąć różnicy klimatów na rozmaitych szerokościach geograficznych, nosił zawsze brązowy melonik, brązowy garnitur i ciężkie czarne buty. Ten portowy strój nadawał jego krępej postaci wygląd sztywnej, niezgrabnej elegancji. Cienki srebrny łańcuszek zegarka zwiślał na kamizelce, a kiedy schodził na ląd, nieodmiennie ścisnął w potężnej, owłosionej ręce swój elegancki parasol w najlepszym gatunku, ale zazwyczaj nie zwinięty. Młody Jukes, pierwszy oficer, odprowadzając dowódcę do trapu, zdobywał się czasami na delikatną uwagę: „Pan pozwoli, panie kapitanie” — i wzięwszy z szacunkiem parasol, unosił drażek, potrząsał fałdami, w mgnieniu oka dokładnie je skręcał i oddawał kapitanowi; a minę miał przy tym tak uroczystą, że pan Salomon Rout, pierwszy mechanik, paląc nad świetlikiem swoje poranne cygare, odwracał głowę, aby ukryć uśmiech. „Atak! Ten przeklęty drapak... Dziękuję panu, dziękuję” — bąkał kapitan serdecznie, nie podnosząc oczu.

Mając tyle tylko wyobraźni, ile trzeba na przeżycie każdego poszczególnego dnia, był spokojny i pewien siebie: z tego samego powodu nie było w nim ani trochę zarozumiałości. Zwierzchnik obdarzony wyobraźnią bywa obraźliwy, wyniosły i trudno go zadowolić; każdy zaś statek dowodzony przez kapitana MacWhirra był pływającym siedliskiem zgody i spokoju. Prawdę mówiąc kapitanowi równie trudno byłoby ulec jakiemuś wybrykowi fantazji, co zegarmistrzowi złożyć chronometr bez żadnych narzędzi prócz dwufuntowego młota i piły. A jednak nieciekawe życie ludzi całkowicie pochłoniętych sprawami bieżącej chwili posiada również swoje tajemnice. Na przykład w wypadku kapitana MacWhirra nie można było w żaden sposób zrozumieć, co skłoniło do ucieczki na morze tego całkiem udanego syna drobnego sklepikarza z Belfastu. A przecież to właśnie zrobił, kiedy miał piętnaście lat. Wystarczyło się nad tym zastanowić, by wyobrazić sobie jakąś olbrzymią, potężną a niewidzialną rękę, która wsuwa się w ziemskie mrowisko, chwyta za ramiona, uderza głowami o głowy i pcha nieświadomych ludzi w kierunku niezrozumiałych celów, w strony, o których im się nawet nie śniło.

Ojciec nigdy mu w gruncie rzeczy nie wybaczył tego głupiego nieposłuszeństwa. „Mogliśmy się obejść bez niego — mawiał później — ale mamy przecież sklep, a to nasz jedyny syn”! Po jego zniknięciu matka bardzo płakała. Ponieważ nie przyszło mu na myśl zostawić jakąś wiadomość o sobie, oplakiwano go jako zmarłego, dopóki po ośmiu miesiącach nie przyszedł pierwszy list z Talcahuano. Był krótki i zawierał stwierdzenie: „Mieliśmy bardzo piękną pogodę podczas rejsu”. Widocznie jednak w przekonaniu piszącego jedyną ważną wiadomość stanowił fakt, że tegoż dnia kapitan wciągnął go na listę stałej załogi w stopniu zwykłego marynarza. „Bo umiem pracować” — wyjaśnił. Matka znowu zalała się łzami, a ojciec wyraził swoje uczucia słowami: „Tom jest osłem”. Był to zażywny mężczyzna skłonny

do żartobliwych kpin, które do końca życia uprawiał w stosunku do syna, traktując go z lekkim politowaniem, jak osobę niespełna rozumu.

Wizyty MacWhirra w domu były z konieczności rzadkie, ale w miarę jak mijały lata, wysyłał rodzicom dalsze listy, zawiadamiając ich o swoich awansach i podróżach po szerokim świecie. Były w tych listach takie zdania: „okropny jest tu upał” albo „w dzień Bożego Narodzenia o czwartej po południu napotkaliśmy góry lodowe”. Starzy rodzice poznali w ten sposób nazwy wielu statków, nazwiska kapitanów, którzy nimi dowodzili, nazwiska szkockich i angielskich armatorów, nazwy mórz, oceanów, cieśnin, przylądków, obce nazwy portów drzewnych, portów ryżowych, portów bawełnianych, nazwy wysp i — imię jego dziewczyny. Nazywała się Lucy. Nie wpadł na pomysł, by napisać, czy mu się to imię podoba. A potem starzy zmarli.

W odpowiednim czasie nastąpił wielki dzień ślubu MacWhirra, wkrótce po wielkim dniu, kiedy otrzymał swoje pierwsze dowództwo.

Wszystko to wydarzyło się na wiele lat przed owym rankiem, kiedy w kabinie nawigacyjnej parowca „Nan—Shan” stwierdził, że barometr, któremu nie miał powodu nie ufać — spada. Spadek barometru — biorąc pod uwagę precyzję instrumentu, porę roku i położenie statku na kuli ziemskiej — nie wróżył nic dobrego, ale czerwona twarz kapitana nie zdradzała wewnętrznego niepokoju. Wróżby dla niego nie istniały i nie pojmował ich treści, dopokąd nie stanął oko w oko z przepowiedzianym faktem. „Barometr spada, to nie ulega wątpliwości — pomyślał. — Widocznie gdzieś w okolicy tłucze się wyjątkowo paskudna pogoda”.

„Nan-Shan” płynął z południa do wolnego portu Fuczou, wioząc towar w dolnych ładowniach i dwustu chińskich kulisów powracających po kilku latach pracy w rozmaitych podzwrotnikowych koloniach do swoich wiosek w prowincji Fokien.

Ranek był piękny, oleiste morze falowało gładko bez roziskrzeń, a na niebie widać było dziwną, białą, mglistą plamę podobną do słonecznej aureoli. Przedni pokład zapchany był Chińczykami: ciemne ubrania, żółte twarze, warkoczyki, wszystko to poprzetykane nagością ramion, bo wiatru nie było i panował duszny upał. Kulisi wylegiwali się, gadali, palili lub stali, gapiąc się za burtę; niektórzy czerpali wodę z morza i oblewali się wzajemnie. Paru spało na pokrywach luków, a kilka grup, po sześciu, przykucniętych na piętach otaczało żelazne tace z ryżem i maleńkimi filiżankami herbaty; każdy zaś z tych obywateli Państwa Niebieskiego wioził ze sobą wszystko, co posiadał na świecie — drewniany kuferek z brzęczącym zamkiem i miedzianymi okuciami na rogach zawierał zdobycze pracy: parę szat ceremonialnych, kilka pałeczek kadzidła, może nieco opium, jakieś bezwartościowe drobiazgi i niewielki zapas srebrnych dolarów zarobionych w trudzie na barkach węglowych, zdobytych hazardem lub drobnym handlem, wydartych pazurami ziemi, wypoconych w kopalniach, na liniach kolejowych, w zabójczych dżunglach, pod ciężarem ładunków — nagromadzone cierpliwie, ukrywane starannie, strzeżone zawzięcie.

Okolo dziesiątej krzyżująca się martwa fala nadpłynęła od strony Cieśniny Formoskiej, nie wzbudzając zbytniego niepokoju wśród pasażerów, bo „Nan—Shan” był bardzo szeroki, miał płaskie dno i boczne stępki przeciwprzechyłowe, a w ogóle znany był jako okręt wyjątkowo stateczny. Pan Jukes, w chwilach wylewności na lądzie, oświadczał, że „stara krypa jest tak samo solidna jak i śliczna”. Kapitanowi MacWhirrowi nawet do głowy by nie przyszło wyrażać głośno podobnie wyszukane pochwały.

Statek był z pewnością dobry, a przy tym względnie nowy. Zbudowano go w Dumbarton przed trzema laty na zamówienie firmy handlowej w Syjamie, „Bracia Sigg i Syn”. Kiedy unosił się już na wodzie całkowicie wykończony i gotów do rozpoczęcia swoich życiowych zadań, właściciele stoczni przyglądali mu się z dumą.

—Sigg prosił, żebyśmy mu znaleźli odpowiedzialnego kapitana, który by zabrał stąd statek — odezwał się jeden ze współników; drugi zaś, po chwili zastanowienia, odpowiedział: —

Zdaje mi się, że MacWhirr jest właśnie na lądzie. — Tak? To wyślij mu zaraz telegram. To akurat człowiek, jakiego nam potrzeba — bez chwili wahania oświadczył starszy.

Następnego ranka MacWhirr stanął przed nimi, jak zwykle spokojny; przyjechał z Londynu nocnym ekspresem, pożegnawszy się z żoną nagle i bez wylewności. Pani MacWhirr pochodziła z dobrej rodziny, której się kiedyś lepiej powodziło.

— Obejrzyjmy teraz statek, kapitanie — powiedział starszy wspólnik i trzech mężczyźni udali się na oględziny wszystkich doskonałości „Nan—Shanu” od dziobu do rufy i od dna ładowni do szczytów dwóch przysadzistych masztów.

Kapitan MacWhirr zaczął od zdjęcia palta, które powiesił na kotwicznej windzie parowej, wyposażonej we wszelkie ostatnie udoskonalenia.

— Wuj polecił pana wczoraj listownie naszym dobrym znajomym, wie pan — Braciom Sigg, i na pewno zatrzymają tam pana na stanowisku — powiedział młodszy wspólnik. — Będzie się pan mógł szczycić, panie kapitanie, dowodząc najbardziej sprawnym statkiem tych rozmiarów na wodach chińskich — dodał.

— Napisaliście, panowie? Dziękuję... — bąknął niewyraźnie MacWhirr, na którym odległa perspektywa takiej możliwości nie zrobiła większego wrażenia niż piękno rozległego krajobrazu na krótkowzrocznym turyście; a jego oczy spoczywały właśnie na zamku od drzwi kabiny, do której zbliżył się zdecydowanym krokiem i, energicznie potrząsając klamką, powiedział swoim cichym, poważnym głosem: — W dzisiejszych czasach rzemieślnikom nie można ufać. Nowiutki zamek i nie działa. Zaciął się. Proszę. Proszę zobaczyć!

Skoro tylko wspólnicy zostali sami w swoim biurze po przeciwnej stronie stocznego placu, siostrzeniec zapytał z odcieniem pogardy w głosie:

— Chwaliłeś tego człowieka przed Siggem, ale co ty w nim właściwie widzisz, wuju?

— Przyznaję, że nie ma w nim nic z romantycznego kapitana, jeśli o to ci chodzi — odpowiedział oschle starszy. — Czy jest tam gdzie mistrz stolarski z „Nan—Shanu”?... Wejdźcie, Bates. Jak to się stało, żeście dopuścili, żeby ludzie Taita wsadzili wadliwy zamek do drzwi kabiny? Kapitan od razu to zauważył, tylko spojrzął. Proszę zamek natychmiast wymienić. Drobiazgi, Bates... pamiętajcie o drobiazgach...

Zamek został wymieniony jak należy i parę dni później „Nan—Shan” wypłynął na Wschód. MacWhirr nie robił już żadnych uwag na temat wyposażenia i nie słyszano również, aby powiedział choć jedno słowo, zdradzające, że jest dumny z okrętu, wdzięczny za nominację albo zadowolony z widoków na przyszłość.

Nie był z usposobienia ani gadatliwy, ani milczący, ale rzadko kiedy widział powód do odezwania się. Były oczywiście tematy służbowe — wskazówki, rozkazy i tym podobne; ale w jego mniemaniu przeszłość była załatwiona, a przyszłość jeszcze nieobecna, zaś bardziej ogólne sprawy bieżące nie wymagały komentarzy, fakty bowiem mogą mówić same za siebie z przytłaczającą precyzją.

Stary Sigg lubił ludzi małomównych i takich, „co do których można mieć pewność, że nie będą próbowali udoskonaląć danych im instrukcji”. MacWhirr czynił zadość tym wymaganiom, został więc zatwierdzony na stanowisku kapitana i odtąd poświęcał się całkowicie ostrożnemu nawigowaniu „Nan-Shanem” po wodach chińskich. Na początku statek był zarejestrowany jako brytyjski, ale po pewnym czasie Bracia Sigg uznali za stosowne przenieść go pod banderę syjamską.

Na wiadomość o projektowanej zmianie Jukes stał się niespokojny, jakby stanowiło to dla niego osobistą obrazę. Łaził, mrucząc coś do siebie pod nosem i wybuchając od czasu do czasu pogardliwym śmiechem.

— Coś podobnego — jakiś idiotyczny słoń z Arki Noego na banderze statku — powiedział raz w drzwiach maszynowni. — Niech mnie diabli... jeśli to zniosę. Cisnę to wszystko. A pan? Panu się niedobrze nie robi? — Pierwszy mechanik chrząknął tylko z miną człowieka, który umie ocenić dobrą posadę.

Pierwszego rana, kiedy nowa bandera powiewała na rufie „Nan—Shanu”, Jukes z niesmakiem przyglądał się jej z mostka. Walczył przez chwilę z własnymi uczuciami, a potem zauważył:

— Dziwnie pływać pod taką banderą, panie kapitanie.

— Czy coś nie tak, jak trzeba? — zapytał kapitan MacWhirr. — Wydaje mi się zupełnie w porządku. — I przeszedł na skrzydło mostka, by się lepiej przyjrzeć.

— Dla mnie jest dziwaczna — wybuchł Jukes i wyprowadzony z równowagi, zbiegł z mostka.

Kapitan MacWhirr zdumiał się tym zachowaniem. Po chwili wszedł spokojnie do kabiny nawigacyjnej i otworzył swój Międzynarodowy Kod Sygnałowy w miejscu, gdzie w jaskrawych kolorach przedstawione są dokładnie flagi wszystkich narodów. Przesuwał po nich palcem i natrafiwszy na Syjam, wpatrzył się z wielką uwagą w czerwone pole i białego słonia. Nie mogło być nic prostszego, ale dla pewności zabrał książkę na mostek, żeby porównać kolorowy rysunek z prawdziwą banderą na drzewcu flagowym na rufie. Kiedy Jukes, który tego dnia spełniał swoje obowiązki z hamowaną wściekłością, pojawił się na mostku, kapitan zauważył:

— Nic tej banderze nie brakuje.

— Rzeczywiście? — wybełkotał Jukes, klękając z rozmachem przed skrzynią, skąd z furją wyszarpał zapasową linkę sondy.

— Tak. Sprawdziłem w książce. Dwa razy tak długa jak szeroka i słoń dokładnie pośrodku. Byłem pewien, że tutejsi ludzie potrafią zrobić banderę własnego kraju. To przecież jasne. Nie miał pan racji...

— Ale, panie kapitanie — zaczął Jukes, wstając podniecony — mogę tylko powiedzieć... — trzęsącymi rękoma szukał w zwoju końca linki.

— Już dobrze, dobrze — uspokoił go kapitan MacWhirr, siadając ciężko na swoim ulubionym płóciennym składanym krześle. — Musi pan tylko pilnować, żeby nie wciągali słonia do góry nogami, zanim się nie przyzwyczają.

Jukes przerzucił nową linkę sondową na przedni pokład, wołając głośno:

— Macie ją, bosmanie-nie zapomnijcie dobrze jej zmoczyć — i z gwałtowną stanowczością zwrócił się do dowódcy; ale kapitan MacWhirr rozparł się już wygodnie łokciami na poręczy skrzydła.

— Bo przypuszczam, że to mogłoby być zrozumiane jako sygnał wzywania pomocy — ciągnął. — Jak pan sądzi? Myślę, że ten słoń przedstawia coś w rodzaju Union Jacka na banderze...

— Czyżby? — wrzasnął Jukes, tak że wszystkie głowy na pokładach „Nan—Shanu” zwróciły się ku mostkowi. Potem westchnął i z nagłą rezygnacją w głosie dodał łagodnie: — Z pewnością to by okropnie wyglądało.

Później tego samego dnia zaczął pierwszego mechanika, szepcząc poufnie:

— Słuchaj no. Opowiem ci ostatni wyczyn starego.

Pan Salomon Rout (często zwany Długim Salem, Starym Salem albo Papą Routem), jako że na wszystkich statkach bywał prawie zawsze najwyższym członkiem załogi, wyrobił w sobie postawę niefrasobliwej pobłażliwości. Włosy miał rzadkie, piaskowego koloru, blade płaskie policzki, kościste przeguby i wąskie dłonie naukowca — również blade, jak gdyby całe życie spędził w cieniu.

Uśmiechnął się ze swoich wyżyn do Jukesa i dalej palił, rozglądając się spokojnie wokoło, niby dobry wujaszek gotowy wysłuchać opowiadania podnieconego uczniaka. Potem, wielce ubawiony, choć bynajmniej nie wytrącony z równowagi, spytał:

— No i rzucił pan posadę?

— Nie — wyrzucił z siebie Jukes znużonym, zniechęconym głosem, usiłując przekrzyczeć przykry warkot wind ładunkowych „Nan—Shanu”. Pracowały wszystkie pełną parą, porywa-

jąc unosy towaru i wznosząc wysoko aż do końca długich żurawi, jakby tylko po to, żeby je w biegu niedbale porzucać. Łańcuchy stropów zgrzytały na blokach, brzęczały na zrębnicach, objęły się łoskotem po burcie; cały statek dygotał, a jego długie, szare burty spowite były w kłęby pary. — Nie — krzyknął Jukes — nie wymówiłem. Co by to dało? Równie dobrze mógłbym rzucić swoją dymisję o tę grodz. Nie wierzę, aby taki człowiek mógł cokolwiek zrozumieć. On mnie po prostu wykańcza.

Właśnie w tej chwili ukazał się na pokładzie powracający z lądu kapitan MacWhirr z parasolem w ręce; za nim szedł posepny, opanowany Chińczyk w jedwabnych pantoflach na papierowych podeszwach, również trzymający parasol.

Kapitan „Nan—Shanu”, który swoim zwyczajem mówił cicho, spoglądając na własne buty, oznajmił, że tym razem muszą zawinąć do Fuczou, więc pan Rout ma mieć statek pod parą jutro punktualnie o pierwszej. Zsunął kapelusze, by otrzeć pot z czoła, i oświadczył, że nie cierpi schodzenia na ląd; górujący nad nim pan Rout nie raczył powiedzieć słowa i palił z powagą, opierając swój prawy łokieć na lewej dłoni. Potem tym samym przytłumionym głosem kapitan zakomunikował Jukesowi, że ma nie ładować przednich pomieszczeń międzypokładowych. Umieści się tam dwustu kulisów. Firma „Bun Hin” odsyła ich do domu. Sampan dowiezie zaraz dwadzieścia pięć worków ryżu do magazynu. Wszyscy ci ludzie wracają po siedmiu latach pracy i każdy wiezie kuferek z kamforowego drzewa -powiedział kapitan MacWhirr. Trzeba kazać cieśli poprzybijać trzycielowe listwy w rzędach wzdłuż międzypokładu, żeby skrzynie nie przesuwwały się podczas podróży. Lepiej niech się Jukes zajmie tym od razu.

— Słyszysz pan, Jukes? Ten Chińczyk popłynie z nimi do Fuczou — będzie czymś w rodzaju tłumacza. Jest urzędnikiem Bun Hina i chce obejrzeć pomieszczenie. Niech go tam Jukes zaprowadzi. Słyszysz pan?

Jukes pilnował się, by we właściwym momencie wtrącać przepisowe „Tak jest, panie kapitanie”, choć mówił to bez entuzjazmu. Rzucił ostro: „Chodź no, John, zrobić, zobaczyć”, i Chińczyk ruszył za nim krok w krok.

— On chce patrzeć zobaczyć, to móc patrzeć zobaczyć -powiedział Jukes, który nie mając zdolności do obcych języków, przekręcał okropnie nawet żargon angielsko-chiński. Wskazał na otwarty luk. — On złapać prima kawałek miejsce do spać, ech?

Był gburowaty, jak przystało jego wyższości rasowej, ale nie był nieprzyjazny. Chińczyk smutno i bez słowa spoglądał w mrok luku, jakby stał nad otwartym, ziejącym grobem.

— Nie złapać deszcz tam w dół, rozumieć? — dodał Jukes. -

Jak cała taka piękna pogoda, jeden kawałek kulis wyjść na góra — ciągnął z ożywieniem. — Zrobić tak: Phuu! — Nabrał do płuc powietrza i wydał policzki. — Rozumiesz, John? Oddychać... świeże powietrze. Dobrze. Co? Prać swój kawałek portki, papu na góra... widzisz, John?

Ruszał ustami i żywo gestykulował rękoma, naśladując jedzenie ryżu i pranie odzieży; Chińczyk zaś, pokrywając swoją nieufność wobec tej pantomimy spokojnym zachowaniem z odcieniem łagodnej, wytwornej melancholii, rzucał spojrzenia migdałowych oczu to na Jukesa, to na luk.

— Baldzo dole — mruknął cicho strapionym głosem i spiesznie prześliznął się po pokładzie, wymijając przeszkody na drodze. Znikł, dając nura pod unos dziesięciu worków jutowych z jakimś cennym towarem, wydzielającym odrażający zapach.

W tym czasie kapitan MacWhirr przeszedł na mostek, do kabiny nawigacyjnej, gdzie czekał nań rozpoczęty przed dwoma dniami list. Długie listy kapitana zaczynały się zawsze od słów:

„Moja ukochana żono”, a steward w przerwach między szorowaniem podłóg i odkurzaniem skrzynek z chronometrami łapał każdą okazję, by je czytać. Interesowały go o wiele bardziej niż kobietę, dla której oczu były przeznaczone, ponieważ zawierały drobiazgowo opisy każdej poszczególnej podróży „Nan—Shanu”.

Kapitan, wierny faktom, bo one jedynie znajdowały odbicie w jego świadomości, spisywał je pracowicie na wielu stronicach. Domek, do którego adresowane były te kartki, stał na północnym przedmieściu, miał skrawek ogródka przed wykuszem okiennym, szeroki, dobrze się prezentujący ganek i w drzwiach wejściowych kolorowe szybki ujęte w ramki naśladowujące olów. Płacił za to rocznie czterdzieści pięć funtów i nie uważał, że czynsz jest wygórowany, bo pani MacWhirr (pretensjonalna osoba o chudej szyi i pogardliwym sposobie bycia) uchodziła za wytworną damę i sąsiedzi uważali ją za „coś lepszego”. Jediną tajemnicę jej życia stanowił potworny lęk na myśl o powrocie męża na stałe do domu. Pod tym samym dachem mieszkała również córka Lydia i syn Tom. Oboje znali ojca bardzo słabo. Był on dla nich rzadkim, ale uprzywilejowanym gościem, który wieczorami palił fajkę w jadalni i sypiał w ich domu. Mizerna dziewczynka wstydziła się go w gruncie rzeczy, chłopak zaś był szczerze i całkowicie obojętny z nieklamana rozkoszną prostotą właściwą chłopięco — męskiej naturze.

Kapitan MacWhirr pisywał z Chin do domu dwanaście razy na rok, wyrażając osobliwie sformułowane życzenia, by „polecić go pamięci dzieci”, i podpisywał się „Twój kochający mąż” z takim spokojem, jak gdyby słowa te, używane od tak dawna przez tylu mężczyzn, były już tylko zużytą formułą o wyblakłym znaczeniu.

Chińskie morza na północy i południu są ciasne. Są to morza pełne zwyczajnych faktów, które mówią same za siebie — wysp, mielizn, raf, bystrych i zmiennych prądów — skomplikowanych zjawisk, które jednak przemawiają do marynarza językiem jasnym i precyzyjnym. Ich wymowa tak dalece odpowiadała poczuciu rzeczywistości kapitana MacWhirra, że wyniósł się ze swojej kabiny na dole i na dobrą sprawę całe dni spędzał na mostku, często jedząc tam posiłki i sypiając w kabinie nawigacyjnej. Tam też komponował swoje listy do domu. Każdy bez wyjątku zawierał zdanie: „mamy w tej podróży doskonałą pogodę”, lub podobne stwierdzenie w tym sensie. I owo stwierdzenie, powtarzające się z zadziwiającą stałością, równie ściśle odpowiadało prawdzie jak wszystkie inne informacje zawarte w listach.

Pan Rout również pisywał listy; ale nikt na statku nie wiedział, jaki potrafi być rozgadany z piórem w ręku, bo pierwszy mechanik miał dosyć wyobraźni, żeby zamykać swoje biurko na klucz. Jego żona rozkoszowała się stylem tych listów. Byli małżeństwem bezdzietnym. Pani Rout, wesola czterdziestoletnia kobieta, postawna i z wydatnym biustem, zajmowała wraz z bezzębną i sędziwą matką pana Routa mały domek koło Teddington. Podczas śniadania żywo przebiegała oczami list i rozbawionym głosem wykrzykiwała głuchej staruszce ciekawe fragmenty, poprzedzając każdy głośnym ostrzeżeniem: „Salomon powiada!” Miała też dar zaskakiwania obcych ludzi cytatami z Salomona, wprawiając ich w zdumienie nieznaną treścią i niespodziewanie żartobliwym tonem tych wypowiedzi. Kiedy nowy wikary przyszedł z pierwszą wizytą, skorzystała z okazji, by rzucić uwagę „Salomon powiada: «mechanicy pływający na statkach poznają dziwy marynarskiej natury»”, aż urwała i wlepiła oczy w gościa, zauważywszy zmianę na jego twarzy.

— Salomon... Ach!... Proszę pani — jękał się młody człowiek, czerwieniejąc. — Muszę wyznać... że nie...

— To mój mąż — wykrzyknęła, z rozmachem opierając się w krzesło. Uświadomiwszy sobie komizm sytuacji, pękała ze śmiechu, pocierając oczy chusteczką, podczas gdy wikary siedział z wymuszonym uśmiechem na twarzy, ponieważ nie znając wesołych kobiet, pewien był, że ma do czynienia z osobą ciężko chorą umysłowo. Potem jednak zostali doskonałymi przyjaciółmi, bo kiedy przestał ją podejrzewać o celowy brak uszanowania, stwierdził, że jest osobą wielkiej zacności; z biegiem czasu nauczył się też bez mrugnienia okiem wysłuchiwać innych urywków Salomonowej wiedzy.

— Co do mnie — cytowała kiedyś pani Rout słowa męża — wolę jako kapitana najgłupszego osła niż łobuza. Na głupca zawsze jest sposób, ale łobuz jest sprytny i wykrętny. — To wzniosłe uogólnienie odnosiło się do osoby kapitana MacWhirra, którego prawość była oczywista jak wielka bryła gliny. Pan Jukes zaś, który nie miał zdolności do uogólnień, a nie

był ani żonaty, ani zaręczony, miał zwyczaj w inny sposób zwierzać się staremu koledze i dawnemu współtowarzyszowi w żegludze, obecnie drugiemu oficerowi na transatlantyku.

Przed wszystkim rozwodził się na temat korzyści rejsów handlowych na Wschodzie, dając do zrozumienia, że górują one nad żeglugą atlantycką. Wychwalał niebo, morze, statki i łatwość życia na Dalekim Wschodzie. Twierdził, że „Nan—Shan” nie ustępuje żadnemu innemu statkowi.

„Nie mamy galonów na mundurach, ale jesteśmy tu sobie braćmi — pisał. — Jadamy wszyscy razem i karmią nas jak tuczniaki... Smoluchy są przyzwoici jak rzadko, a stary Sal, pierwszy mechanik, to nudna tyka. Jesteśmy w przyjaźni. Co do Starego, to trudno o spokojniejszego kapitana. Czasem się zdaje, że nie ma dość rozumu, by zauważyć niedociągnięcia.

A jednak tak nie jest. Nie ma mowy. Jest kapitanem już od dobrych paru lat. Nie popełnił żadnego wyraźnego głupstwa i daje sobie radę ze statkiem, nikogo nie zdręczając. Wydaje mi się, że jest za tępy, żeby mu sprawiło przyjemność zrobienie awantury. Nigdy go nie nabieram. Wstydziłbym się. Zdaje się, że poza zwykłym tokiem zajęć nie rozumie nawet połowy z tego, co się do niego mówi. Czasem naśmiewamy się z niego, ale na dłuższą metę nudno przebywać z takim człowiekiem. Stary Sal twierdzi, że on nie jest bardzo rozmowny. Rozmowny! Boże, zmiłuj się! On w ogóle się nie odzywa. Któregoś dnia gadałem z jednym z mechaników, stojąc pod skrzydłem mostka, i widocznie musiał nas usłyszeć. Idę na górę obijając wachtę, a on wychodzi z kabiny nawigacyjnej, rozgląda się dookoła uważnie, zerka na światła burtowe, rzuca okiem na kompas, zezuje na gwiazdy. To jego zwykły obrządek. Po chwili mówi:

«Czy to pan rozmawiał teraz na lewym korytarzu?» «Tak, panie kapitanie». «Z trzecim mechanikiem?» «Tak, panie kapitanie» Przechodzi na prawą burtę, zasiada na swoim składanym stołeczku pod osłoną przeciwwiatrową i przez chyba pół godziny nie daje znaku życia, tyle że usłyszałem, jak raz kichnął. Potem słyszę, jak wstaje i przechodzi do mnie na lewą burtę. «Nie pojmuję, skąd wy bierzecie tematy do rozmowy — mówi. — Przez bite dwie godziny. Nie mam o to pretensji. Ludzie na łodzi robią to całymi dniami, a wieczorem siadają i, popijając, gadają dalej. Chyba w kółko to samo. Nie pojmuję».

Słyszałeś kiedy coś podobnego? A taki był przy tym cierpliwy. Zrobiło mi się go całkiem żal. Ale czasem bywa też nieznośny. Oczywiście człowiek nie zrobiłby mu nic na złość - nawet gdyby się to miało udać. Ale i tak nie warto. On jest tak niebywale naiwny, że nawet gdybyś mu zagrał na nosie, to by się tylko głęboko zastanowił, co ci się stało. Powiedział mi raz całkiem po prostu, że trudno mu zrozumieć, dlaczego ludzie zawsze tak dziwnie się zachowują. Jest zbyt tępy, żeby się nim w ogóle przejmować, i to jest fakt”.

Tak oto pisał Jukes do swego kolegi w żegludze atlantyckiej, otwierając przed nim swoje serce i puszczając wodze fantazji.

Dawał wyraz swoim głębokim przekonaniom. Nie warto było starać się zaimponować takiemu człowiekowi. Gdyby świat pełen był takich ludzi, życie stałoby się dla Jukesa zapewne nudne i pozbawione uroku. Nie był w swych poglądach odosobniony. Nawet morze zdawało się dzielić jego łagodną wyrozumiałość i nigdy nie usiłowało zaskoczyć tego milczącego człowieka, który rzadko podnosił wzrok i zasklepiony w swojej niewinności przemierzał oceany, mając tylko jeden wyraźny cel: zarobić na jedzenie, odzienie i dach nad głową dla trzech osób na łodzi. Oczywiście znał i sztormową pogodę. Bywał przemoknięty, nękany niewygodami i zwykłym zmęczeniem, które odczuwa się w danej chwili i szybko potem zapomina. Dlatego też jego wzmianki o pięknej pogodzie były, ogólnie biorąc, uzasadnione. Nie miał jednak najmniejszego pojęcia o niezmierzonej sile i dzikiej furii żywiołu, furii, która wyczerpuje się, ale nigdy nie zna zaspokojenia — gniewnej furii rozwścieczonego morza. Wiedział tylko, że istnieje, podobnie jak my wiemy o istnieniu przestępstw i podłości; słyszał o tym, podobnie jak miłujący spokój mieszkaniec miasta słyszy o bitwach, głodzie i powodziach, nie wiedząc, czym te klęski są naprawdę — choć mógł być nawet kiedyś wmieszany w uliczną

awanturę, raz nie zjeść kolacji albo przemoknąć do szpiku kości w ulewnym deszczu. Kapitan MacWhirr pływał po powierzchni oceanów, jak niektórzy ludzie prześlizgują się po latach życia, by łagodnie zapaść w spokojny grób, nieświadomi życia do ostatka, nie widząc, ile w nim zdrady, brutalności i przerażenia. I na morzu, i na lądzie zdarzają się ludzie tak uprzywielejewani — lub tak lekceważeni przez los albo morze.

II

Widząc, że barometr stale spada, kapitan MacWhirr myślał sobie: „Jakaś paskudna pogoda tłucze się po okolicy”. Tak sobie właśnie pomyślał. Doświadczył już kiedyś dosyć paskudnej pogody — wyraz paskudna w odniesieniu do pogody oznacza umiarkowane tylko kłopoty dla marynarza. Gdyby dowiedział się z jakiegoś autorytatywnego źródła, że koniec świata nastąpi na skutek katastrofalnych zakłóceń atmosferycznych, przyjąłby tę wiadomość jedynie w sensie zapowiedzi paskudnej pogody, ponieważ nie znał dotychczas żadnych kataklizmów, a przekonanie nie musi iść w parze ze zrozumieniem. Mądrość jego ojczyzny znajdowała wyraz w ustawie parlamentarnej, zgodnie z którą, zanim uznano go za odpowiedzialnego dowódcę statku, musiał odpowiedzieć na pewne proste pytania dotyczące sztormów wirowych — jak huragany, cyklony, tajfuny; najwidoczniej odpowiedział na nie, skoro był teraz kapitanem „Nan—Shanu” na Morzu Chińskim, w sezonie tajfunów. Ale jeśli nawet kiedyś na te pytania odpowiedział, to teraz nic już nie pamiętał. Zdawał sobie jednak sprawę, że bardzo mu dokuczają wilgotny upał. Wyszedł na mostek, ale i to nie przyniosło ulgi. Powietrze wydawało się gęste. Chwytał je z wysiłkiem jak ryba i zaczął podejrzewać, że mu dolega coś poważnego.

„Nan—Shan” orał zanikającą bruzdę na powierzchni morza, które iskrzyło się jak kawałek falującego, szarego jedwabiu. Białe, bezpromienne słońce rzucało niezdecydowany blask, który spływał potokami ołowianego żaru, a Chińczycy na pokładach leżeli bez ruchu. Ich żółte twarze były bezkrwiste i wynędzniałe jak twarze ludzi chorych na wątrobę. Dwaj szczególnie, leżący na wznak pod mostkiem, zwrócili uwagę kapitana MacWhirra. Gdy tylko zamknęli oczy, wyglądali na nieżywych. Bliżej dziobu trzej inni klócili się dziko; jeden wielki drab, na pół nagi, o herkulesowych barach, zwisał bezwładnie na windzie; inny siedział na pokładzie z kolanami podciągniętymi pod brodę i głową po dziewczęcemu przechyloną w bok, splatał swój warkocz z wyrazem bezgranicznej ociążałości, widocznej w całej postawie, a nawet w samych ruchach palców. Dym z trudem wydobywał się z komina i zamiast odpływać smugą, rozrastał się w jakąś piekielną, cuchnącą siarką chmurę, z której padała na pokłady deszcz sadzy.

— Cóż pan tu, do diabła, robi, Jukes? — spytał kapitan Mac Whirr.

Ten niezwykle zwrot, choć wymamrotany raczej niż wypowiedziany, sprawił, że Jukes drgnął całym ciałem, jakby go ktoś dźgnął pod piąte żebro. Jukes siedział na niskiej ławeczce, którą kazał sobie przynieść na mostek. Zwój liny wił się u jego stóp, a na kolanach leżał rozpostarty kawałek płótna, w który wbijał energicznie igłę żaglową. Podniósł oczy na kapitana, a zdumienie nadało im wyraz szczerej niewinności.

— Wszywam linę w te nowe worki, które zrobiliśmy w ostatniej podróży do wciągania węgla — tłumaczył się łagodnie. — Będą nam potrzebne przy następnym ładowaniu węgla, panie kapitanie.

— Co się stało ze starymi?

— Już się w końcu zniszczyły, panie kapitanie. Kapitan MacWhirr wpatrywał się przez chwilę niezdecydowanie w swego pierwszego oficera, po czym wyraziwszy ponure i cyniczne przekonanie, że „gdyby to można było dojść prawdy”, okazałoby się, że więcej niż połowa tych worków przepadła za burtą, wycofał się na drugie skrzydło mostka. Jukes, wyprowadzony z równowagi tą niezasłużoną napaścią, złamał igłę przy następnym ścięgu i rzuciwszy robotę, wstał, stłumionym głosem gwałtownie przeklinając upał.

Śruba głucho waliła wodę, trzej Chińczycy na dziobie przerwali nagle sprzeczkę, a ten, który splatał warkocz, objął rękoma kolana i beznadziejnym wzrokiem gapił się przed siebie. Trupi blask słońca kładł słabe i mdłe cienie. Martwa fala stawała się coraz wyższa i szybsza, powodując ciężkie przechyły boczne statku na gładkich, głębokich przepaściach wodnych.

— Ciekawym, skąd się bierze ta przekłeta martwa fala -głośno powiedział Jukes, łapiąc równowagę.

— Z północnego wschodu — odburknął z drugiej strony skrzydła mostka MacWhirr, zawsze dosłownie rozumiejący pytania. — Tłucze się gdzieś po okolicy paskudna pogoda. Niech pan pójdzie spojrzeć na barometr.

Kiedy Jukes wyszedł z kabiny nawigacyjnej, na jego twarzy malowały się zamyślenie i niepokój. Uchwycił poręcz na skrzydle mostka i utkwiał wzrok w przestrzeni.

Temperatura w maszynowni podniosła się do stu siedemnastu stopni. Ze świetlika i przez kratę kotłowni dochodził szorstki gwar poirytowanych głosów, przeplatany gwałtownym szczękiem i zgrzytem metalu, jak gdyby kłócący się tam ludzie mieli kończyny z żelaza, a gardła z brązu. Drugi mechanik wymyślał palaczom za spadek ciśnienia pary. Miał isticie kowalskie bary i budził powszechny lęk, ale tego popołudnia palacze odpowiadali zuchwale, z desperacką furią zatrzaskując drzwiczki paleniska. Potem hałas ustał nagle i drugi mechanik wynurzył się z kotłowni, pokryty smugami brudu i zlany potem, niby kominiarz wychodzący ze studni. Ledwie wysunął głowę nad kratę, zaczął rugać Jukesa, że wentylatory kotłowni nie są porządnie wykręcone na wiatr. W odpowiedzi Jukes czynił rękoma uspokajające, błagalne gesty, które miały znaczyć: „nie ma wiatru — nic nie poradzę — sam pan widzi”. Ale tamtemu nie można było przemówić do rozsądku. Na tle brudnej twarzy zęby błyskały mu wściekle. Nie ma nic przeciwko temu, by porozwalać tym bałwanom na dole ich takie owakie łby, niech go diabli, ale czy ci przekłeci marynarze myślą, że dla utrzymania ciśnienia pary w kotłach wystarczy tylko rugać tych takich owakich palaczy? Nie, do cholery. Musi być też przeciąg — żeby go tu na miejscu pokręciło, musi! A jeszcze w dodatku chief miota się od południa jak wariat koło manometru kotłowego. Po jaką cholere Jukes tu siedzi, jeśli nawet nie potrafi kazać żadnej pokładowej łamadze nastawić wentylatory na wiatr?

Stosunki między „maszynownią” a „pokładem” były na „Nan—Shanie”, jak wiadomo, braterskie; Jukes wychylił się więc nad poręczą i opanowanym głosem błagał mechanika, by przestał z siebie robić durnia; po drugiej stronie mostka stoi kapitan. Ale drugi mechanik oświadczył buntowniczo, że kpi sobie z tego, kto jest po drugiej stronie mostka. W mgnieniu oka pobłażliwe strofowanie Jukesa zmieniło się w irytację i nie dobierając słów, poradził tamtemu, by sam wlaź na górę i wykręcił przekłete rury, to złapie tyle wiatru, na ile tylko takiego jak on osła stać. Drugi mechanik skoczył do boju. Rzucił się na lewoburtowy wentylator, jakby chciał cały wyrwać i wyrzucić za burtę. Z wielkim wysiłkiem udało mu się jedynie przekręcić o parę cali głowicę nawiewnika i już zdawał się być całkowicie wyczerpany. Stał oparty plecami o tylną ścianę sterowni; Jukes podszedł do niego.

— O Boże! — wyrzucił z siebie mechanik słabym głosem. Podniósł oczy w niebo, a potem opuścił szklany wzrok na linię widnokregu, która przechylona o 40 stopni zdawała się przez chwilę zwisać ukosem, nim powoli wróciła na swoje miejsce. — O Boże. Uff! Co to się w ogóle dzieje?

Jukes, stojący jak cyrkiel na swoich rozstawionych, długich nogach, przybrał ton wyższości.

— Dostanie nam się tym razem — powiedział. — Barometr spada na łeb na szyję, Harry. A ty się tak głupio awanturujesz...

Słowo „barometr” rozbudziło na nowo furię drugiego mechanika. Zebrał się w sobie i stłumionym głosem brutalnie kazał Jukesowi wepchnąć sobie ten niewymienialny instrument do własnego cholernego gardła. Kogo ten parszywy barometr obchodzi? Tu idzie o parę — parę, bo ciśnienie spada, psi jego los między mdlejącymi palaczami a chiefem, który dostał

kręćka; nic go nie obchodzi, jeśli cały ten kram pójdzie w jasne pioruny. Przez chwilę zdawało się, że zacznie płakać, ale kiedy odzyskał oddech, wymamrotał posępnie: „już ja im pomdleję”, i zbiegł z mostka. Przystanął na kratownicy, by pogrozić pięścią dziwnemu słońcu, i z wojowniczym okrzykiem zapadł się w ciemną czeluść.

Odwróciwszy się, Jukes spostrzegł zaokrąglone plecy i duże czerwone uszy kapitana MacWhirra, który podszedł był z drugiego skrzydła. Nie patrząc na swego pierwszego oficera, przemówił bez wstępu:

— Ten drugi mechanik to bardzo gwałtowny człowiek.

— Mimo to doskonały mechanik — odburknął Jukes. — Nie dają rady utrzymać ciśnienia — dodał pośpiesznie i chwycił poręcz na widok zbliżającego się przechyłu.

Kapitan MacWhirr był nieprzygotowany, więc rzuciło nim parę kroków, aż z nagłym szarpnięciem zatrzymał się koło stojaka tentu.

— Ordynus — upierał się. — Jeśli tak dalej pójdzie, przy pierwszej okazji będę go musiał zwolnić.

— To z upału — powiedział Jukes. — Straszna pogoda. Święty by kłął. Nawet tu, na górze, czuję, jakbym miał głowę owiniętą wełnianym kocem.

Kapitan MacWhirr podniósł wzrok.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że miał pan już kiedyś głowę owiniętą kocem? Po co?

— To tak się mówi — odparł Jukes tępo.

— Też macie pomysły! Święci mają przeklinać? Po co pan wygaduje takie bzdury. Cóż to byłby za święty, gdyby kłął? Pewnie taki sam święty jak pan. I co ma do tego koc — albo pogoda... Ja nie klnę mimo upału. To po prostu paskudny charakter. Ot, co. Takie gadanie nie ma sensu.

W ten oto sposób kapitan MacWhirr wystąpił przeciwko obrazowemu wyrażaniu się, na koniec zaś zelektryzował Jukesa pogardliwym prychnięciem, po którym nastąpił pełen wściekłości wybuch.

— Do cholery! Wywalę go ze statku, jeśli nie będzie się pilnował.

Niepoprawny Jukes pomyślał: „O nieba! Nowy duch wstąpił w starego. Jest naprawdę zły. Oczywiście to wszystko z upału, bo z czegoż innego? Nawet anioł stałby się kłótlivy — a cóż dopiero święty”.

Wszyscy Chińczycy na pokładzie wydawali się ledwo żywi.

Zachodzące słońce miało zmniejszoną średnicę i jarzyło się bezpromiennym, wygasającym brązem, jakby od rana upłynęły już miliony wieków, a teraz zbliżał się koniec. Na północy pojawił się zwał gęstych chmur; miał złowieszczy, ciemnooliwkowy odcień i spoczywał nieruchomo na morzu, niby masywna przeszkoda zagrządzająca drogę statkowi. Ten zaś brnął ku niej niezmordowanie, jak wycieńczone zwierzę pędzone na śmierć. Miedziana poświata zaniżała stopniowo, ustępując ciemnościom, a wraz z nimi pojawił się nad samą ziemią rój ogromnych gwiazd, które migotały niepewnie jak płomyki w podmuchach wiatru. O ósmej Jukes poszedł do kabiny nawigacyjnej, by wciągnąć dane do dziennika okrętowego.

Starannie przepisał z brudnopisu liczbę mil, kurs statku, a w kolumnie „wiatr” nagryzmołił poprzez całe osiem godzin od południa słowo „cisza”. Irytowało go nieustanne i monotonne kołysanie. Ciężki kałamarz tak się ślizgał, że można go było posadzić o przekorną ucieczkę przed piórem. Napisawszy w obszernej rubryce pod nagłówkiem „uwagi”: „Bardzo dokuczliwy upał”, wziął obsadkę w zęby jak fajkę i pieczołowicie otarł twarz z potu.

„Statek silnie rozkołysany na wysokich, krzyżujących się martwych falach”, ciągnął dalej, dodając w myśli: „silnie, to za mało powiedziane”. Potem napisał: „Groźny zachód słońca i niski zwał chmur na płn. i wsch. Niebo nad nami czyste”.

Rozparty przy stole z piórem w ręku, wyjrzał przez drzwi. W polu widzenia, ujętym w ramy framugi między ścianami z lękowego drzewa, zobaczył gwiazdy uciekające w górę po

czarnym niebie. Wszystkie naraz poderwały się do lotu i znikły, pozostawiając za sobą jedynie białą nacętkowaną czerń, bo morze, równie czarne jak niebo, całe upstrzone było pianą. Gwiazdy, które odfrunęły przy pierwszym przechyle, wróciły przy następnym, spadając rozmigotanym rojem już nie ognistych punkcików, ale małych krążków, połyskujących czystym mokrym blaskiem.

Jukes przyglądał się przez chwilę latającym wielkim gwiazdom, a potem zapisał: „8 wieczór. Martwa fala wzrasta. Statek pracuje ciężko, fale zmywają pokłady. Kulisi na noc zamknęci pod pokładem. Barometr ciągle spada”. Przerwał i pomyślał: „Może to wszystko skończy się na niczym”. Potem, bez wahania, zakończył zapis zdaniem: „Wszystkie oznaki zbliżającego się tajfunu”.

Wychodząc, musiał zejść z drogi kapitanowi, który przeszedł przez próg bez słowa i bez gestu.

— Może pan zamknie drzwi! — zawołał z głębi kabiny. Jukes zawrócił, by spełnić polecenie, i mruknął ironicznie:

— Pewnie boi się zaziębić. — Był teraz po wachcie, ale czując potrzebę zagadania do kogoś, zwrócił się wesoło do drugiego oficera: — Mimo wszystko nie wygląda tak źle, prawda?

Drugi chodził tam i z powrotem po mostku, to zbiegając w dół małymi kroczkami, to wspinając się z wysiłkiem w górę po ruchomym zboczku pokładu. Na dźwięk głosu Jukesa stanął nieruchomo twarzą w kierunku dziobu, ale nie odpowiedział.

— O! To będzie ciężki przechył — powiedział Jukes, kołysząc się na spotkanie głębokiej fali, aż ręką dotknął desek pokładu. Tym razem z gardła drugiego wydobył się nieprzyjazny pomruk.

Był to podstarzały, wyniszczony facet z popsutymi zębami i bez zarostu. Zamustrowano go naprędce w Szanghaju podczas tego rejsu, kiedy drugi oficer sprowadzony z kraju wypadł przez burtę (kapitan MacWhirr nie mógł pojąć, jak to się stało) do pustej barki węglowej stojącej obok, opóźniając o trzy godziny odpłynięcie „Nan-Shanu” z portu; musiano go bowiem odesłać na ląd do szpitala ze wstrząsem mózgu i paroma połamanymi kośćmi.

Niechętny pomruk nie zraził Jukesa.

— Chińczycy muszą mieć świetną zabawę tam na dole -odezwał się. — Ich szczęście, że nasza łajba mniej kołysze niż wszystkie inne statki, na których pływałem. O znowu! Ta też nie była taka zła!

— Poczekaj pan — warknął drugi oficer.

Jego ostry, zaczerwieniony na końcu nos i ściągnięte, wąskie usta sprawiały wrażenie, jakby nim bezustannie miotała wewnętrzna wściekłość, a zwięzły sposób wyrażania się graniczył z opryskliwością. Cały swój wolny czas spędzał w kabinie przy zamkniętych drzwiach, zachowując się tak cicho, jak gdyby zasypiał natychmiast po zejściu ze służby. Ci, którzy schodzili go budzić na wachtę, zawsze zastawali go jednak leżącego na wznak na koi, z głową na przybrudzonej poduszce i gniewnym wyrazem szeroko otwartych oczu. Nigdy nie pisał listów i zdawał się znikąd nie oczekiwać wiadomości; wspominał raz co prawda West Hartlepool, ale tylko po to, by z wyjątkową goryczą wytknąć zdzierstwo w jakimś pensjonacie. Należał do marynarzy, których w razie potrzeby zaciąga się w rozmaitych portach świata. Są oni dość obeznani ze swoim fachem, zdają się być całkowicie splukani z pieniędzy, nie zdradzają żadnych szczególnych wad i noszą na sobie piętno wyraźnego niepowodzenia. Dołączają do załogi w wypadku nagłej potrzeby, wszystkie statki są im jednakowo obojętne, żyją w atmosferze przypadkowych związków z kolegami (którzy nic o nich nie wiedzą) i decydują się rzucić pracę w najmniej odpowiedniej chwili. Bez słów i pożegnań wynoszą się w jakimś zakazanym porcie, w którym inni baliby się pozostać; schodzą na ląd ze swoją obdrapaną skrzynką, obwiązaną sznurem jak kufer pełen skarbów, z taką miną, jakby chcieli czym prędzej puścić statek w niepamięć.

— Poczekaj pan — powtórzył, stojąc plecami do Jukesa, nieruchomy i zawzięty, utrzymując równowagę mimo silnego kołysania.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że jeszcze oberwiemy? — zapytał Jukes z chłopcą ciekawością.

— Ja chcę powiedzieć?... Ja nic nie mówię. Nie złapie mnie pan — przerwał ostro oficerek z mieszaniną dumy, pogardy i chytryści, jakby w pytaniu Jukesa kryła się jakaś zasadzka. — O nie! Żaden z was tu nie zrobi ze mnie dumnia, szkoda gadać — mruknął do siebie.

Jukesowi przeleciała przez głowę myśl, że drugi jest podłą kreaturą, i żał mu się zrobiło w głębi serca, że biedny Jack Allen rozbił się w barce węglowej. Daleko przed statkiem, poprzez gwiaździstą noc ziemską, widać było inną głęboką czern, jakby drugą noc — bezgwiezdną noc nieskończoności poza stworzonym wszechświatem, ukazaną w straszliwej ciszy przez niską szczelinę w tej połyskującej kuli, której jądrem jest ziemia.

— Cokolwiek tam jest — powiedział Jukes — to płyniemy prosto na to.

— Pan to powiedział — podchwycił drugi oficer wciąż odwrócony tyłem do Jukesa. — Proszę pamiętać: pan — nie ja.

— Idź pan do diabła! — rzucił Jukes po prostu, tamten zaś zachichotał z triumfem.

— To pan powiedział — powtórzył.

— Więc co z tego?

— Znałem ludzi naprawdę przyzwoitych, którzy popadali w tarapaty ze swoimi kapitanami, chociaż pyskowali mniej od pana — mówił drugi gorączkowo. — O, nie! Mnie pan nie złapie!

— Jakoś cholernie pan się boi czymkolwiek zdradzić — powiedział Jukes skwaszony absurdalną sytuacją. — Ja tam się nie boję mówić, co myślę.

— Ech, mówić do mnie to nie sztuka. Jestem nikim i dobrze o tym wiem.

Po okresie względnego spokoju statek znów zaczął się kołysać, jedno przechylenie gorsze było od drugiego i na chwilę Jukesa zbyt pochłonęło utrzymywanie równowagi, by mógł otworzyć usta. Kiedy tylko najgorsze huśtanie minęło, powiedział:

— Trochę za dużo tego dobrego. Czy cokolwiek nadchodzi, czy nie, trzeba ustawić się dziobem do fali. Stary poszedł się właśnie położyć. Niech mnie diabli, jeśli nie pójdę z nim pogadać.

Kiedy jednak otworzył drzwi od kabiny nawigacyjnej, zobaczył swego kapitana czytającego książkę. Kapitan MacWhirr nie leżał na koi — stał uczepiony jedną ręką brzegu półki, a drugą trzymał przed sobą gruby, otwarty tom. Lampa kręciła się na zawieszonym kardanowym, książki, korzystając z pustego miejsca, przewracały się z boku na bok po półce; długi barometr szarpliwie zataczał koła, a stół co chwila zmieniał kąt nachylenia. Kapitan, stojący nieruchomo pośrodku całego tego zamętu, wyrzwał spoza książki i spytał:

— O co chodzi?

— Martwa fala się powiększa, panie kapitanie.

— Zauważyłem to i tutaj — mruknął kapitan MacWhirr. — Coś nie w porządku?

Jukes, zmieszany poważnym wyrazem oczu patrzących nań znad książki, uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Huśta nami jak starym butem — odparł nieśmiało.

— Tak jest. Wielka fala, wielka fala. Czego pan chce?

Jukes stracił rezon i zaczął się plątać.

— Myślę o naszych pasażerach — powiedział z miną człowieka, który chwyta się byle czego.

— Pasażerach? — zdziwił się kapitan z całą powagą. — Jakich pasażerach?

— No, jak to? O Chińczykach, panie kapitanie — wyjaśnił Jukes, któremu już zupełnie obrzydła ta rozmowa.

— O Chińczykach! Czemu pan nie mówi wyraźnie? Nie wiedziałem, o co chodzi. Nigdy nie słyszałem, żeby tłum kulisów nazywać pasażerami. Też mi pasażerowie! Co pana napadło?

Kapitan MacWhirr przymknął książkę, zakładając palcem miejsce, gdzie czytał, i opuścił rękę; wyglądał na bardzo zdumionego.

— Dlaczego pan myśli o Chińczykach? — dopytywał się. Jukes zebrał się na odwagę jak człowiek przyparty do muru.

— Pokłady zalewa woda, panie kapitanie. Pomyślałem, że może pan zechce pójść dziobem — choćby na trochę. Dopóki fala się nie zmniejszy; a to chyba niedługo nastąpi. Sterować na wschód. Nigdy takiego kołysania nie widziałem.

Jukes trzymał się drzwi, ale kapitan MacWhirr czując, że półka nie jest wystarczającym oparciem, puścił ją pośpiesznie i ciężko padł na kanapę.

— Sterować na wschód? — pytał, usiłując usiąść. — To przecież więcej niż cztery rumby z kursu.

— Tak jest, panie kapitanie. Pięćdziesiąt stopni... Tyle właśnie trzeba, by wykręcić i pójść na...

Kapitan MacWhirr siedział już teraz wyprostowany. Nie wypuścił książki i nie zgubił w niej zaznaczonego miejsca.

— Na wschód? — powtórzył z rosnącym zdumieniem. — Na... A jak pan myśli, dokąd my płyniemy? Pan chce, bym zmienił kurs silnego parowca o cztery rumby dla wygody Chińczyków? Słyszałem już o różnych idiotyzmach na świecie, ale coś takiego... Gdybym pana nie znał, pomyślałbym, że jest pan pijany. Zwrócić o cztery rumby... A co potem? Pewnie z powrotem zawrócić w drugą stronę, by mieć dobry kurs. Co panu przyszło do głowy, że będę zmieniał halsy parowca, jakby to był żaglowiec?

— Całe szczęście, że nim nie jest — wtrącił Jukes z goryczą. — Pogubiłby dziś po południu wszystkie patyki od tego kiwania.

— Tak jest. A pan mógłby tylko stać i patrzeć, jak je gubi — dorzucił kapitan MacWhirr z pewnym ożywieniem. — Mamy zupełną ciszę, prawda?

— Tak jest, panie kapitanie. Ale na pewno zbliża się coś niezwykłego.

— Być może. Pewnie uważa pan, że powinienem uciec przed tym świństwem — powiedział kapitan MacWhirr z największą prostotą w zachowaniu i głosie, utkwivszy nieruchomy wzrok w płótnie pokostowym, pokrywającym podłogę. Nie spostrzegł więc ani zakłopotania Jukesa, ani malującej się na jego twarzy mieszaniny wzburzenia i szacunku.

— O, tu, ta książka — ciągnął kapitan z namysłem, klepiąc się zamkniętym tomem po udzie. — Właśnie w niej przeczytałem rozdział o sztormach.

To była prawda. Czytał rozdział o sztormach. Wchodząc do kabiny nawigacyjnej, nie miał zamiaru zdejmować książki z półki. Coś w powietrzu — pewnie to samo, co skłoniło stewarda, by bez rozkazu przynieść do kabiny nawigacyjnej gumowe buty i nieprzemakalny płaszcz kapitana — skierowało jego rękę do półki; nie tracąc nawet czasu na siadanie, zabrał się energicznie do zgłębiania trudnej terminologii przedmiotu. Pochłoneły go przesuwające się półokręgi, bezpieczne i niebezpieczne ćwiartki, krzywe torów, prawdopodobny zamiar na oko cyklonu, zmiany kierunku wiatru i wskazania barometru. Starał się odnaleźć w tych wszystkich danych jakiś określony związek z własną sytuacją, ale w końcu ogarnęła go pogardliwa złość na tę masę słów pełnych wskazówek, wyrozumowanych koncepcji i przypuszczeń, pozbawionych cienia pewności.

— To jedna wielka bzdura — powiedział. — Gdyby człowiek wierzył we wszystko, co tu jest, to większość czasu spędzałby na próbach omijania sztormów po całym morzu.

Znowu uderzył się książką po nodze; Jukes otworzył usta, ale się nie odezwał.

— Omijać sztorm! Czy pan to rozumie? To szczyt szaleństwa! — wykrzykiwał kapitan MacWhirr, robiąc między zdaniem pauzy, podczas których z powagą wpatrywał się w podłogę.

— Można by pomyśleć, że napisała to stara baba. To przechodzi wszelkie pojęcie. Gdyby ta książka miała jakikolwiek sens, powinienem natychmiast zmienić kurs, płynąć gdzieś, diabli wiedzą gdzie, i triumfalnie dotrzeć do Fuczou od północy, ciągnąc w ogonie tego paskudztwa, które przypuszczalnie tłucze się gdzieś po okolicy. Od północy! Rozumie pan? Nadłożyć trzysta mil, a potem przedstawić ładny rachuneczek za węgiel. Nigdy bym się na to nie zdołał, nawet gdyby każde słowo było prawdziwe jak święta Ewangelia. Nie może pan ode mnie oczekiwać...

Jukes milczał zdumiony podnieceniem i wielomównością kapitana.

— Ale faktem jest, że i tak nie wiemy, ile w tym racji. Skąd można na zapas przewidzieć, jaki będzie wiatr? Faceta, co to napisał, nie ma tu z nami na statku. No dobrze. On pisze, że oko tego czegoś leży osiem rumbów od wiatru; ale mimo tego całego spadania barometru wiatru nie ma. Więc gdzie jest to oko?

— Wiatr zaraz się zacznie — bąknął Jukes.

— To niech się zacznie — obruszył się z godnością kapitan MacWhirr. — Chciałem panu tylko wykazać, że w książkach wielu *rzeczy* nie ma. Wszystkie te reguły, jak unikać silniejszych powiewów i jak obchodzić wiatry, wszystko to wydaje mi się czystym szaleństwem, kiedy się chłodno nad tym zastanowić.

Podniósł wzrok i dostrzegłszy, że Jukes przygląda mu się niepewnie, zaczął wyjaśniać, co miał na myśli.

— Podobnie jak i pana zadziwiający pomysł wykręcenia statku dziobem do fali na Bóg wie jak długo, żeby Chińczykom było wygodniej; podczas kiedy do nas należy tylko dowieźć ich do Fuczou w piątek przed południem. Jeśli pogoda przeszkodzi — mówi się trudno. W pańskim dzienniku okrętowym jest wyraźny zapis pogody. Ale przypuśćmy, że zszedłbym z kursu i zawinął o dwa dni później. Zapytano by: „Gdzie pan był przez ten cały czas, panie kapitanie?” Co bym powiedział? „Poszedłem okrężną drogą, żeby uniknąć złej pogody” — odpowiedziałbym. „Musiała być cholernie zła” — oni na to. A ja:

„Nie wiem. Okrążyłem ją”. Rozumie pan? Dokładnie to przemyślałem w ciągu popołudnia.

Znów podniósł wzrok, z właściwym sobie wyrazem, jakby niczego nie zauważał i pozbawiony był wyobraźni. Nikt jeszcze nie słyszał, by kiedykolwiek wypowiedział tyle słów naraz. Jukes, który z rozkrzyżowanymi ramionami stał w drzwiach, miał minę człowieka zaproszonego na pokaz cudu. W jego oczach malowało się bezgraniczne zdziwienie, a z całej postawy przebijało niedowierzenie.

— Sztorm jest sztormem, proszę pana — podjął kapitan — i przyzwoity parowiec musi mu stawić czoło. Zawsze tłucze się gdzieś jakaś paskudna pogoda po świcie i trzeba się przez nią po prostu przebić bez tych różnych „sztormowych strategii”, o których mówi stary kapitan Wilson z Melity. Niedawno na lądzie słyszałem, jak przemawiał na ten temat do grona kapitanów, z którymi siedział przy sąsiednim stole. Mnie się to wszystko wydało szczytem bzdury. Opowiadał im, jak udało mu się wymanewrować — chyba tak się wyraził — okropny sztorm, któremu ani przez chwilę nie dał podejść bliżej niż na pięćdziesiąt mil. Nazwał to pięknym triumfem rozumu. Skąd wiedział, że o pięćdziesiąt mil był okropny sztorm, to się w głowie nie mieści. Miałem wrażenie, że słucham wariata. Wydawałoby się, że na swoje lata kapitan Wilson powinien być mądrzejszy.

Kapitan MacWhirr przerwał na chwilę, a potem spytał:

— To pan teraz nie jest na wachcie, prawda? Jukes drgnął jak przebudzony.

— Nie jestem, panie kapitanie.

— Proszę wydać rozkaz, żeby mnie zbudzono przy najmniejszej zmianie — powiedział kapitan. Wyciągnął rękę, odkładając na miejsce książkę, i podkulił nogi na koi. — Niech pan dociśnie drzwi, żeby się same nie otworzyły. Nie cierpię, jak trzaskają. Prawdę mówiąc, na tym statku jest mnóstwo podłych zamków.

Kapitan MacWhirr zamknął oczy.

Chciał odpocząć. Odczuwał zmęczenie i pustkę w głowie: skutki wyczerpującej dyskusji, która wyzwała jakieś głębokie przekonanie, dojrzewające w ciągu wieloletnich rozmyślań. Istotnie było to jego wyznanie wiary, choć nie zdawał sobie z tego sprawy; Jukes zaś był pod tak silnym wrażeniem, że długo jeszcze stał za drzwiami, drapiąc się w głowę.

Kapitan MacWhirr otworzył oczy.

Zdawało mu się, że zasnął. Co to za łoskot? Wiatr? Czemu go nie zawołano? Lampa kręciła się na zawieszonym kardanowym, barometr zataczał koła, stół zmieniał co chwila kąt nachylenia; gumowe buty o załamanych w pół wiotkich cholewach przesunęły się koło koi. Wyciągnął szybko rękę i złapał jeden z nich.

W szparze drzwi ukazała się twarz Jukesa: tylko twarz, bardzo czerwona, z wytrzeszczonymi oczami. Płomień w lampie podskoczył, kawałek papieru podleciał w górę, gwałtowny podmuch owionął kapitana. Wciągając but, skierował wyczekujące spojrzenie na spuchniętą i podnieconą twarz Jukesa.

— Zaczęło się — krzyczał Jukes — pięć minut temu... zupełnie nagle.

Głowa znikła wraz z głośnym trzaśnięciem drzwi, po których przeleciał gwałtowny plusk i bębnienie rozbryzgu, jakby ktoś chlusnął po nadbudówce wiadrem rozpuszczonego ołowiu. Poprzez głuchy, wibrujący huk dolatywał teraz świst. Duszna kabina nawigacyjna pełna była przeciągów jak szopa. Kapitan MacWhirr złapał w przelocie drugi but przesuwany się gwałtownie po podłodze. Nie był oszołomiony, ale z trudnością znalazł otwór na nogę. Pantofle, które rzucił, rozbiegły się po kabinie, wywracając koziołki jak rozbawione szczenięta. Kiedy się podniósł, kopnął je z wściekłością, ale bez żadnego skutku.

Stojąc w pozycji atakującego szermierza, sięgnął po swój nieprzemakalny płaszcz; potem nałożył go, podrygując i zataczając się po ciasnej kabinie. Z wielką powagą, szeroko rozstawiając nogi i wyciągając szyję, zaczął starannie wiązać pod brodą sznurki zydwestki grubymi, lekko trzęsącymi się palcami. Wykonywał wszystkie gesty kobiety nakładającej przed lustrem kapturek i z napiętą, wyteżoną uwagą wsłuchiwał się w kakofonię dźwięków, które ogarnęły nagle statek, jakby spodziewając się każdej chwili, że wyłoni z niej swoje nazwisko. Ogłuszony narastającym łoskotem, przygotowywał się do wyjścia, aby stawić czoło temu, co się tam działo. A był to nawał burzliwych, rozszalałych wichrów, grzmot rozbijających się fal, przeciągłe, głuche wibracje powietrza, jak gdyby gdzieś w oddali olbrzymi bęben wzywał sztorm do ataku.

Przystanął na chwilę w świetle lampy, krępy, niezgrabny i bezkształtny w swoim bitewnym rynsztunku, czujny i czerwony na twarzy.

— To nie przelewki — mruknął do siebie.

Wiatr porwał drzwi, ledwo je spróbował otworzyć. Uczepionego klamki wywlekło go przez próg i natychmiast rozpoczął z wiatrem bójkę o zamknięcie drzwi. W ostatniej chwili wpadł do kabiny strumień powietrza i zmył płomień lampy.

Przed dziobem, ponad mrowiem białych błysków, panowała wielka ciemność; za prawą burtą, nad bezmierną pustką kipiącego morza, majaczyło kilka zdumiewających gwiazd, mętnych i niepewnych, jakby widzianych przez rozszalałe tumany dymu.

Na mostku widać było w świetle okien sterówki, padającym mgliście na ich głowy i plecy, grupę pracujących w ogromnym trudzie postaci. Raptem w ciemność zapadło jedno okno, a po chwili drugie. Głosy niewidzialnej grupy dochodziły go tak jak głosy ludzi w wichurze: urywki, strzępki beznadziejnego wołania śmigły mu koło uszu. Nagle pojawił się przy nim Jukes, który zawrzeszczał, pochylając głowę.

— Wachta... obsadzona... sterówce kłapy... szkło... boję się... wgniecie.

Jukes usłyszał, że kapitan robi mu wymówki.

— To — zaczęło się — cokolwiek — ostrzec — zawołać mnie. Usiłował wytłumaczyć, chociaż wiatr zatykał mu usta.

— Powiew... zostałem... mostku... nagle... północno-wschodni... mógł się zmienić... myślałem... na pewno... pan... słyszy.

Dotarli do brezentowej osłony i mogli rozmawiać podniesionym głosem, jak ludzie, którzy się kłóca.

— Kazałem pozakrywać wentylatory. Dobrze, że zostałem na pokładzie. Nie myślałem, że pan zaśnie, więc... Co pan mówi, kapitanie? Co?

— Nic — odrzyknął kapitan MacWhirr. — Powiedziałem: w porządku.

— Rany boskie! Dostało nam się tym razem — stwierdził Jukes rykiem.

— Nie zmienił pan kursu? — zapytał kapitan, wysilając głos.

— Nie, panie kapitanie. Pewnie, że nie. Wiatr przyszedł z przodu. O, idzie fala z dziobu.

Statek dał nura, po czym nastąpił wstrząs, jakby przód stępki uderzył o coś twardego. Po chwilowej ciszy strugi rozpylonych bryzgów strzeliły w górę i gnane wiatrem smagnęły ich po twarzach.

— Trzymaj pan kurs, póki się da! — krzyczał kapitan MacWhirr.

Nim Jukes otarł oczy ze słonej wody, wszystkie gwiazdy znikły.

III

Jukes miał tyle przytomności umysłu co pół tuzina przeciętnych młodych oficerów marynarki razem wziętych; co prawda zdumiewająca wściekłość pierwszego szkwału nieco go zbiła z tropu, opamiętał się jednak w jednej chwili, zwołał załogę i kazał im szybko pozabezpieczać wszystkie otwory pokładowe, których nie uszczelniono wieczorem. Wołał świeżym, donośnym głosem: „Szybciej, chłopcy, do pomocy!”, i dyrygował robotą, mówiąc sobie w duszy: „tego się właśnie spodziewałem”.

Zarazem jednak coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że to było więcej, niż się spodziewał. Od pierwszego podmuchu, który musnął mu policzek, wiatr narastał i potężniał jak lawina. Ciężkie bryzgi rozpylonej wody spowijały „Nan—Shan” od dziobu po rufę i nagle podczas zwykłego kołysania statek zaczął drgać i nurkować jakby oszalały ze strachu.

„To nie żarty” — pomyślał Jukes. Kiedy krzyżąc, wymieniali z kapitanem uwagi, ciemność nocy pogłębiła się raptem, jakby namacalna przeszkoda przesłoniła im pole widzenia. Zdawało się, że wygaszone zostały utajone światła przestworzy. Jukes odczuwał bezgraniczne zadowolenie z bliskości kapitana. Jego obecność przynosiła mu ulgę, jakby przez samo pojawienie się na pokładzie przejął na swoje barki cały ciężar wichru. Takie są prestiż, przywilej i brzemień dowództwa.

Kapitan MacWhirr od nikogo na świecie nie mógł oczekiwać podobnej ulgi. Taka jest bowiem samotność dowództwa. Z czujnością marynarza, który staje oko w oko z wiatrem jak z przeciwnikiem, usiłował wypatrzeć i przeniknąć jego ukryte zamiary oraz odgadnąć cel i siłę ataku. Potężny wicher gnał na niego z głębokiego mroku; pod stopami wyczuwał niepokój statku, nie mogąc nawet dostrzec cienia jego kształtu. Oby się zmieniło; czekał nieruchomo, jak człowiek porażony ślepotą.

Za dnia czy w ciemności, milczenie było u niego stanem naturalnym. Wśród rwących podmuchów dolatywał go głos Jukesa, drącego się rześko na całe gardło:

— Panie kapitanie! Chybaśmy od razu wpadli w najgorsze.

Przestrzeń wokół nich rozedrgała się spięciem białych błyskawic, oświetlających jakby głąb jaskini, czarnej, tajemniczej komnaty morza, w której posadzką są spienione grzywacze.

Na krótki, pełen grozy moment odsłoniły się zwały nisko wiszących, poszarpanych chmur, wydłużona sylwetka statku w przechyle i czarne kształty przychwyconych na mostku ludzi, których głowy pochylone były do przodu, jakby skamienieli, bodąc jakąś niewidoczną ścianę. Wszystko pulsowało ciemnością. I wtedy dopiero zaczęło się.

Było to coś tak przerażającego i gwałtownego, jak nagłe roztrzaskanie butli z gniewem. Wybuchalo dookoła okrętu potężnymi wstrząsami i pędem spiętrzonych wód, jakby po nawietrznej wyleciała w powietrze ogromna tama. W jednej chwili załoga straciła ze sobą łączność. Taka jest niszczycielska siła wielkiego wiatru: oddziela ludzi od siebie. Trzęsienie ziemi, obsunięcie się góry i lawina zaskakują człowieka jakby przypadkowo, można powiedzieć, beznamytnie. Gwałtowna wichura atakuje go jak osobistego wroga, chwyta za kończyny, poraża umysł, próbuje wyrzucić duszę.

Jukesa odepchnęło od dowódcy. Zdawało mu się, że porwany wirem przeleciał w powietrzu dużą odległość. Wszystko znikło — na chwilę nawet stracił zdolność myślenia; natrafił jednak ręką na wspornik barierki. Poczucia grozy nie zmniejszyło zwątpienie w rzeczywistość własnych przeżyć. Mimo młodego wieku widział już niejedną złą pogodę i pewien był, że potrafi sobie wyobrazić nawet najgorszą; ale to, co się działo, przechodziło wszelkie pojęcie i zdawało się uniemożliwiać przetrwanie jakiegokolwiek statku. Także co do siebie miałby zapewne podobne wątpliwości, gdyby nie był tak pochłonięty koniecznością zmagania się z potęgą żywiołu, który próbował go oderwać od uchwytu. Poza tym świadomość, że jest wpół-zatopiony, potwornie poturbowany i niemal zaduszony, utwierdzała go w przekonaniu, że przecież tli się w nim jeszcze iskra życia.

Zdawało mu się, że bardzo, bardzo długo trwał tak sam, niepewnie uczepiony wspornika. Deszcz zalewał, smagał, ściekał po nim. Z trudem chwytął powietrze, a przetykana woda była raz słodka, raz słona. Prawie cały czas zaciskał powieki, jakby lękając się, że bezmierne zamieszanie żywiołów pozbawić go może wzroku. Kiedy odważał się zerknąć okiem, dodawał mu otuchy słaby odbłask zielonego światła pozycyjnego z prawej burty, na pędzącej ścianie deszczu i piany. Patrzył na nie właśnie, kiedy oświetliło spiętrzoną górę wody — i zgasło. Dostrzegł czub łamiącej się fali, która dodała drobinę łoskotu do szalejącego dookoła ryku nawałnicy, i prawie w tej samej chwili wspornik został wyszarpnięty z jego objęć. Poczul miazdzący cios w plecy i nagle woda uniosła go w górę. Miał nieodparte wrażenie, że całe Morze Chińskie wdarło się na mostek. Potem, już bardziej przytomnie, wywnioskował, że jest za burtą. Miotany, targany, rzucony na wszystkie strony przez potężne zwały wody, cały czas szybko powtarzał w duchu: „mój Boże! mój Boże! mój Boże! mój Boże!”

Nagle w porywie rozpaczliwego buntu powziął szaleńczą decyzję wydostania się z tych opałów. Zaczął wymachiwać rękoma i nogami. Ale już po chwili nieporadnych szamotań stwierdził, że jakoś zaplątał się z czyjąś twarzą, płaszczem gumowym i butami. Jak kleszczami chwytął to wszystko po kolei, gubił, znów odnajdywał, gubił raz jeszcze i wreszcie sam poczuł się mocno złapany przez dwoje silnych ramion. Odwzajemnił uścisk, obejmując masywne, mocne ciało. Tak odnalazł swego kapitana.

Przewracali się nieustannie, ściskając wzajemnie coraz mocniej. Nagle fala rzuciła ich potężnym ciosem; przyparci do ściany sterówki, bez tchu i potłuczeni, ślaniali się i zataczali na wicherze, szukając jakiegoś punktu oparcia.

Jukes był dość przerażony, jak gdyby udało mu się umknąć przed jakimś niespotykanym gwałtem na własnych uczuciach.

Jego wiara w siebie osłabła. W tych piekielnych ciemnościach zaczął nawoływać człowieka, którego obecność wyczuwał w pobliżu: „Panie kapitanie, czy to pan? Panie kapitanie, czy to pan?” — zdawało mu się, że od tego krzyku pękają mu skronie. W odpowiedzi doleciał go głos, jakiegoś pełnego niepokoju nawoływanie z bardzo daleka; wyłowił uchem tylko jedno słowo: „Tak!” Znowu fale przewalały się przez mostek. Stał wobec nich bezbronny, z gołą głową, mając obie ręce zajęte trzymaniem się.

Statkiem miotało obłądnie. Była jakaś zastraszająca bezradność w jego nagłych przechyłach; zapadał się dziobem, jakby dając nura w próżnię i za każdym razem natrafiając na mur. Kiedy kołysał, przewalał się na boki całą siłą rozpędu, a wyprostowywały go uderzenia tak druzgoczące, że Jukes czuł, jak „Nan—Shan” zatacza się niby ogłuszony ciosem człowiek,